

Wizytówką Górnika i Legii w kraju i na arenie międzynarodowej zawsze były drużyny seniorów. Długo grały ze zmiennym szczęściem, tak na dobre, dopiero w sezonie 1969/1970 stały się „eksportowe”. Zaczęło owocować nowoczesne spojrzenie na współczesny futbol. Sporą cegiełkę dorzucili tu trenerzy zagraniczni: w Górniku Geza Kalocsai, a w Legii Jaroslav Vejvoda. Ich następcy Michał Matyas i Edmund Zientara też wyszli z odpowiedniej szkoły. Pierwszy z dobrej strony dał się już poznać w Wiśle Kraków i Polonii Bytom, natomiast Zientara potwierdzić swoją fachowość w pracy w Legii.

To warszawiak z krwi i kości, przed laty wybitny piłkarz nie tylko Legii, także Polonii i Gwardii kapitan reprezentacji, przejął od Vejvody zespół praktycznie bez zmian kadrowych. Po rezygnacji kontuzjowanego Jacka Gmocha bezskutecznie zabiegał o wzmocnienie środka obrony. Mimo to w 1970 roku wywalczył z Legią tytuł mistrza Polski i zadziwił jej widowiskową grą znaczną część Europy. Górnik nadal skupiał główną uwagę na rozgrywkach o Puchar Polski. Stąd droga do międzynarodowych sukcesów była nieco łatwiejsza. Bezpośrednie pojedynki Górnika z Legią tak w lidze, jak i w rozgrywkach pucharowych, były ozdobą naszych boisk. To one jako pierwsze zasłużyły na miano „kласыków” w krajowym wydaniu. Dziś często bez żadnych podstaw szasta się takimi określeniami w odniesieniu do mniej zasłużonych i dużo słabszych drużyn. Kto w przeszłości widział mecze tej rangi sportowej i tak dużej skali emocji, ten nie ma wątpliwości, że głównie rywalizacja Górnika z Legią zasługuje na tak duże wyróżnienie i pamięć.

Oba te zespoły rozegrały na krajowych boiskach dziesiątki wspaniałych spotkań. Większość z nich, ligowych i pucharowych, oglądałem na własne oczy. Które było najlepsze? Najwspanialsze widowisko zasługujące na rangę autentycznego klasyka, moim zdaniem pojedynku najwspanialszego w blisko pięćdziesięcioletniej rywalizacji obu klubów, ci dwaj wielcy partnerzy zafundowali

kibicom w rundzie jesiennej 1969 roku. Grano w Zabrze, zwyciężyła Legia 2:1, a strzelcami bramek byli: Jan Pieszko, Władysław Stachurski i „Portugalczyk” Jerzy Musiałek.

Obserwacja i opisywanie tego meczu sprawiły mi ogromną satysfakcję. Futbol z najwyższej półki! W pierwszej połowie rewelacyjnie grała Legia, a jej druga linia Brychczy – Deyna – Blaut wręcz koncertowo. Deyna wniósł do gry najwięcej polotu i fantazji, Brychczy spokoju i elementów „szanowania piłki”, a Blaut – wiedzy taktycznej. Piękny spektakl pobudził wyobraźnię, stał się nielada gratką dla estetów. Górnik zwłaszcza po przerwie, dorównywał gościom, co jeszcze bardziej uatrakcyjniło to niecodzienne widowisko. Nikt tu nie chciał być gorszy i przegrany. Czarowali widownię zwycięzcy i pokonani. Piłkarskie sztuczki Brychczego, Deyny, Szoltyśnika i Lubańskiego rozpałały kibiców do granic dotychczas niespotykanych. Szaleli, przecierali oczy, pokrzykiwali: – *„Ejże, panowie! Czy to naprawdę grają polskie drużyny?! Futbol, jak szachy!”*. Grały nasze „drużyny eksportowe”. Wymiar europejski!

Działo się to akurat w roku Złotych Godów PZPN. Piłkarzem pięćdziesięciolecia wybrano Gerarda Cieślika, ale w „10 najlepszych” znalazło się aż czterech zawodników z tego meczu: Brychczy, Pohl, Oślizło i Lubański. Czy rzeczywiście był to najlepszy mecz dwóch polskich drużyn w dotychczasowej historii Związku? Ligę z lat międzywojennych znam z drugiej ręki, ale powojenną – daję za to głowę – już z własnych obserwacji. Tak, to był wtedy najlepszy występ dwóch polskich drużyn. W roku 1958 po wygranej Legii z Górnikiem również śpiewano „Sto lat”, ale adresat był tylko jeden – Lucjan Brychczy. W Zabrzu na hymny pochwalne zasłużyli wszyscy! Ujawnili swoje faktyczne możliwości i międzynarodowe aspiracje. Awansowali do ćwierćfinału europejskich rozgrywek pucharowych, Legia w Pucharze Mistrzów, a Górnik w Pucharze Zdobywców Pucharów.

W roku 1969 szansę na ćwierćfinał w Pucharze UEFA, a właściwie w Pucharze Miast Targowych, bo tak się wtedy nazywał, miała jeszcze Gwardia. Grała dobrze, w derby Warszawy pokonała nawet Legię. W pierwszej rundzie PTM gwardziści wyeliminowali mocny zespół Wojwodiny Nowy Sad. Byli również faworytem w drugiej odsłonie. Wylosowali teoretycznie słabszy Athletic FC Dunfermline. Odlecieli do Edynburga w bojowym nastroju: – „**Równaj do harpagonów!**”. Przypomniano ich następcom, że w roku 1957 Gwardia z Krzysztofem Baszkiewiczem, Stanisławem Hachorkiem zrobiła na Wyspach furorę. Ta druga wyprawa była jednak piłkarsko nieudana. Sportowo gwardziści nie byli gorsi od Szkotów, ale mentalnie nie dorastali im do pięt. Znaleźli się w zupełnie innym świecie, pokus było wiele, one bardziej frapowały, zaś sportową koncentrację spychały na dalszy plan.

Gwardia zamieszkała w Edynburgu w Learmonth Hotel, którego właścicielem był Jan Tomasik, nasz rodak spod Krakowa. W czasie II wojny światowej walczył w Polskiej Armii na Zachodzie, z dywizją generała Stanisława Maczka, między innymi wyzwał w Holandii Bredę. Po wojnie osiadł właśnie w Szkocji. Dość często opisywano jego losy w krakowskiej i warszawskiej prasie. W hotelu Tomasika byłem gościem na takich samych zasadach, jak cała drużyna. Za nic nie musiałem płacić. Zastanawiałem się, co muszę dać w zamian za te względy.

– Ma pan „Wyborową” – zapytał właściciel.

– Dwie butelki – odpowiedziałem.

– To dobrze... Będą potrzebne... Prosimy do pokoju 103, oczywiście z flaszkami...

Schodzę w miarę szybko i chętnie, bo i ja mam ochotę na kielicha. Pukam, drzwi otwiera Waław Soja, kierownik stołecznej drużyny. Patrę i oczom nie wierzę. Na podłodze ustawiono już ponad sto butelek. Będzie mały handelek?...

– Płacę półtora funta za flaszkę – mówi Tomasik. – Trzy dla pana...

– To miłe, tylko że nic dla mnie nie zostanie... A wieczory takie długie, listopad...

– Lubi pan whisky?

– Nie gardzę...

– No to zaraz po kolacji zapraszam do baru.

W Szkocji whisky piją wszyscy. Na przedmeczowym bankiecie zaserwowano kilka różnych gatunków. Prezes AFC Dunfermline Andrian Watson najbardziej zachwalał bliżej nam nieznaną „Mord whisky”.

– Ile to ma procent? – niemal jednocześnie zapytaliśmy, towarzyszący ekipie Stanisław Nowosielski, późniejszy prezes PZPN i ja.

– Ponad sześćdziesiąt – odpowiedział barman. – Whisky and soda?

– Nie, ani kropli!... Proszę nie mieszać, bo straci moc i smak! – odpowiadamy. – Woda tylko do popitki...

Wypiliśmy po trzy angielski. Szkoci pełni podziwu, my zadowoleni. Mocna, ale dobra! Zapraszamy prezesa Dunfermline na rewanż w Warszawie. Nasza „pejsachówka” też ma swoje procenty. Pan Watson w hotelu „Europejskim” rzeczywiście usiłował dotrzymać nam kroku. Ale nie zdzierzył – już pierwsza lampka „pejsachówki” ścięła go z nóg. Wzywano lekarza... My w Szkocji trzymaliśmy się zdrowo. W Dunfermline bankietowaliśmy, w Edynburgu kontynuowaliśmy „nocne rodaków rozmowy”, a w Glasgow robiliśmy zakupy.

W drodze powrotnej do kraju zwiedzaliśmy Londyn. Hyde Park, Piccadilly Circus, Big Ben, gmach brytyjskiego parlamentu i obowiązkowo lotnisko Northolt. Złożyliśmy tam kwiaty przed pomnikiem Polaków poległych w Bitwie o Anglię. Obładowany zagranicznymi towarami z lekką obawą lądowałem na Okęciu. Kłopotów nie było. Tu też zadbano, by „harpaganom” nie spadł włos z głowy. Dla świętego spokoju wytypowano trzech ludzi do kontroli celnej (nazwiska ogłoszono przez megafon zaraz po przylocie), a pozostali członkowie eki-

py bez żadnych przeszkód przeszli przez pomieszczenie dla VIP-ów. Nowe doświadczenie, czegoś takiego dotychczas jeszcze nie znałem.

Żywot Pucharu Miast Targowych nie był długi, w sezonie 1971/1972 przekształcono go w Puchar UEFA. Z polskich klubów w PMT wystąpiły tylko cztery kluby: wspomniana już Gwardia, Ruch Chorzów, GKS Katowice i Legia Warszawa. Rywale mocni: Fiorentina, Ajax Amsterdam, Barcelona. Żadna z naszych drużyn nie dotarła nawet do ćwierćfinału, a Ruch w starciu z Ajaxem doznał prawdziwej klęski. Po 0:7 w Amsterdamie nasz wielokrotny mistrz stał się obiektem żartów. Pytano: – „Czy znasz bajkę o Ajaxie? Odpowiadano: – „A – jak – się nauczysz grać – to poznasz.

Najlepiej w PMT spisała się Legia. W sezonie 1968/1969, jeszcze zanim wywalczyła mistrzostwo Polski, rozgromiła u siebie TSV 1860 (6:0), a w Monachium wygrała 3:2. Był to srogi rewanż legionistów na Niemcach za 0:4 i 0:0 w 1965 roku. Wojskowi po dobrej grze poradzili sobie również z belgijskim Waregem. Na drodze do ćwierćfinału stanął wojskowym Ujpest Budapeszt. Obserwowałem i opisałem w „PS” oba mecze z Węgrami. W Warszawie zima, scenaria podobna, jak przed laty w spotkaniu z TSV 1860. Jednak tym razem Legia była lepsza. Na oblodzonym i ośnieżonym boisku, powinna wygrać różnicą kilku bramek, tak miażdżącą miała przewagę, ale niespodziewanie przegrała 0:1. W Budapeszcie lodu i śniegu już nie było, więc legioniści dość szybko strzelili dwie bramki. Wynik 2:0 dawał awans. Dla tamtejszej widowni i prasy było to ogromnym zaskoczeniem.

Narosło wokół tego wydarzenia sporo plotek. Byłem w Budapeszcie, ale nie jestem w stanie ich potwierdzić. Niektórzy piłkarze mówili mi rozżaleni, że sporą cegiełkę do tego niepowodzenia Legii przyłożył Kazio Deyna. Nie wytrzymał meczu kondycyjnie. Podobno akurat w nocy poprzedzającej ten mecz zebrało mu się na amory. Faktem jest, że osłabł po godzinie gry i w środku pola

powstała luka. Wykorzystali to Węgrzy i poprawili wynik na 1:2. Taki rezultat nadal był korzystny dla Legii, dzielnie go broniła. Na finiszu jednak do akcji wkroczył austriacki sędzia Linemayr. Podyktował karnego z „kapelusza” i było 2:2. Ujpest w ćwierćfinale.

Nadal głośne były echa finałów mistrzostw świata w Anglii w 1966 roku i ich wpływ na rozwój piłkarstwa. Włochy, nasz niedawny pogromca, mistrz świata z 1934 i 1938 roku, także w 1966 uchodziły tam za głównego rywala Anglii, Brazylii i Urugwaju. Losowanie puli finałowej odbyło się w ogromnej sali konferencyjnej luksusowego hotelu Royal Garden w Londynie. Nie wszystkim dopisało tu szczęście, ale właśnie nad drużyną Italii, tak przynajmniej sądzono, bogini fortuna wyjątkowo szeroko roztoczyła opiekuńcze skrzydła. Działacze włoskiej federacji i trener Edmondo Fabbri z radości zaczęli tańczyć tarantelę i po każdej lampce wina lub whisky wykrzykiwali:

– Dzięki ci piękna bogini! Byłaś dla nas bardzo łaskawa... Kazesz grać w grupie z Rosją, Chile i Koreą Północną. Nie zawiedziemy cię!... Rywali z grupy połkniemy jak małe rybki, a później postaramy się zdobyć Złotą Nike na własność!...

– To niemożliwe! – ripostował trener, Alf Ramsey. – Złota Nike pozostanie w Anglii! Mistrzem świata my, albo nikt!...

Były to mistrzostwa pełne niespodzianek. Już w eliminacjach grupowych odpadły Brazylia i Włochy, a Urugwaj w ćwierćfinale. Angielscy dziennikarze prorokowali: – „W VIII Mistrzostwach Świata w zasadzie możliwe jest wszystko z wyjątkiem tego, że do ćwierćfinałów awansują reprezentacje Bułgarii, KRL-D i Szwajcarii”. Na Korei połamali sobie zęby. Przegrała z ZSRR, zremisowała z Chile, ale w trzecim meczu eliminacyjnym wygrała właśnie z Włochami 1:0 i poszła dalej. Zwycięską bramkę zdobył Pak Doo-Ik. Red. Grzegorz Aleksandrowicz, który dla „Przeglądu Sportowego” relacjonował przebieg tego turnieju, nie krył zdziwienia: – „*Pak-Doo-Ik będzie się śnił Włochom po nocach!*”. Trener

Edmondo Fabbri z rozpaczy przykładał kompresy na zbolałą głowę. Dyskretnie, w tajemnicy przed kibicami, Włosi opuścili Anglię. Sądzieli, że „tifosi” ich nie dopadną. Płonne nadzieje. Na lotnisku w Rzymie powitali przegranych wyzwiskami: – „**Zbrodniarze!... Zdradziliście ojczyznę!**” ... Trener musiał się ukrywać.

Niewiele brakowało, aby los Włoch podzieliła w ćwierćfinale Portugalia. Koreańczycy zgotowali jeszcze jedną niespodziankę. Po kwadransie gry prowadzili 3:0! Wtedy jednak jakiś nieziemski duch wstąpił w napastnika Portugalii, Eusebio. Przed przerwą strzelił dwa piękne gole, po przerwie jeszcze dwie, piątą Augusto i ostatecznie faworyt wygrał 5:3. Podekscytowany sprawozdawca Reutera napisał po tym dramatycznym meczu: – „*To nie Portugalia zwyciężyła Koreę, wygrał tylko Eusebio*”. Trener pokonanych Mung Yeal-Hjun zebrał jednak mnóstwo komplementów. W kraju witano piłkarzy, jak bohaterów. Zderzenie dwóch światów: w Brazylii i we Włoszech wyzwiska, stawianie szubienic dla trenerów Vincente Feoli i Edmundo Fabbriego, a w Korei gorące powitanie i przemarsz ekipy bramą triumfalną.

PUCHAR ŚWIATA NA SZKLANYM EKRANIE

Były to pierwsze mistrzostwa świata, które również w Polsce wyzwoliły u kibiców dotychczas niespotykane pokłady emocji. Przyczyniła się do tego telewizja. Niecodzienna uczta piłkarska. Redaktorzy Witold Dobrowolski, Stefan Rzeszot i Jan Ciszewski na żywo relacjonowali przebieg większości spotkań, a pisma sportowe i codzienne szeroko komentowały to niecodzienne wydarzenie. „Pan Grzegorz” skupił się przede wszystkim na przesyłaniu „LISTÓW Z ANGLII”, natomiast redakcyjna obsługa tej imprezy niemal w stu procentach spoczywała na mojej głowie. Własne odczucia z tego wielkiego święta futbolu przekazywałem czytelnikom w felietonie: „PUCHAR ŚWIATA NA MAŁYM EKRANIE”.

Zjawiskiem dość powszechnym są u nas kolejki po banany i pomarańcze – pisałem na początku turnieju – ale do odległych należą czasy, w których ustawiano się w ogonku po... telewizory. Tymczasem ostatnio przeróżne „Oriony”, „Nefryty” i „Szmaragdy” cieszą się wyjątkowym powodzeniem. Wynik coraz lepszej reklamy i poprawy jakości aparatów?... Teraz o wzmożonym popycie na „szklane kino” decydują przede wszystkim mistrzostwa świata w piłce nożnej...

A oto fragmenty niektórych później zredagowanych felietonów:

Mistrzostwom świata w Anglii towarzyszy niezwykle przyjemna atmosfera. Nie ma burd i awantur, przynajmniej w tych meczach, które oglądamy w telewizorach... Niespodzianek jest sporo, ale akurat reprezentacja RFN zasłużyła wygrała z ZSRR! Tercet Seeler – Held – Emmerich jest w tej drużynie taranem rozbijającym obronę przeciwnika i stwarza w niej luki, w które w odpowiednim momencie z drugiej linii wchodzi Overath, Haller i Beckenbauer. Tego rodzaju taktyka święciła triumf właśnie w meczu z ZSRR; zwycięskie bramki dla RFN zdobyli pomocnicy Haller i Beckenbauer.

Mecz Portugalia – ZSRR wystawia dobre świadectwo obu drużynom – zwycięzcom i pokonanym. W tym meczu nie było „ziemi niczyjej”, jak to często zdarza się podczas spotkań ligowych rozgrywanych w naszym kraju... W Anglii prawie każda z drużyn, które oglądaliśmy na „szklanym ekranie”, niejako za wstępny warunek powodzenia w danym meczu, uważała oponowanie środkowej strefy boiska...

.. W owe sobotnie popołudnie po raz ostatni opustoszały ulice, kawiarnie i restauracje. W ogóle wszystko było „po raz ostatni” – także wielki futbol, czy wlepione w telewizor i rozpalone policzki... Szczerze gratulujemy Anglikom sukcesu, na który pracowali 100 lat. I już po mistrzostwach... Jakże teraz o godzinie 19.30 poczujemy się nieswojo? Będzie nam czegoś brakowało, na próżno będziemy oczekiwać na sygnał: tu Londyn, Liverpool, Sunderland, Manchester...

Redaktorzy Witold Dobrowolski, Stefan Rzeszot i Jan Ciszewski już powrócili do kraju! Także autor tej rubryki się żegna i serdecznie dziękuje tym wszystkim Czytelnikom, którzy kierowali pod jego adresem zawsze życzliwe uwagi (telefony i listy) i pośrednio dostarczali „surowca” do redagowania „**Pucharu Świata na małym ekranie**.”

Dziękuję również koledze redakcyjnemu Cergo za przekazanie mi na okres mistrzostw świata jego stałej rubryki „TV i MY”. On jest w tej dziedzinie redakcyjnym specem, może więc dorzucić kilka swoich uwag o pracy komentatorów. W każdym razie moją prywatną Złotą Nike otrzyma red. Witold Dobrowolski. Dlaczego nie Jan Ciszewski? Stanowczo za dużo mówił i nadmiernie przeżywał. Gdyby tylko niektóre okrzyki Janka „gol”, znalazły pokrycie z rzeczywistością, to mecze piłkarskie musiałyby się kończyć wynikami typowymi dla piłki ręcznej. Poza tym „Cis” zbyt często mijał się z prawdą, mylił fakty i zawodników. Był też na bakier z poprawną polszczyzną.

Kilkanaście lat później do mistrzostw świata w Anglii nawiązałem również w pracy zbiorowej wydanej przez Młodzieżową Agencję Wydawniczą: „**MIILIARD NA WIDOWNI**”. Przypomniałem, między innymi:

... Najlepszy mecz w VIII Mistrzostwach Świata rozegrały w półfinale reprezentacje Anglii i Portugalii. Trzon zespołu portugalskiego tworzyły Benfica i Sporting Lizbona. Wszyscy zawodnicy, zwłaszcza Eusebio, Torres, Simoes i Coluna znali się bardzo dobrze. Grali prawie na pamięć. Preferowali atak czy obronę? Wszystko zależało od rozwoju sytuacji na boisku. Starano się równomiernie rozkładać akcenty w grze na wszystkie formacje. A więc „gra wszystkimi siłami”!. Była to niewątpliwie nowość taktyczna VIII Mistrzostw Świata.

Jeszcze większymi nowatorami okazali się Anglicy. Oni jedni z pierwszych, jeśli w ogóle nie pierwsi na świecie, zastosowali wymiennosc funkcji w drużynie. Bezpośrednia konfrontacja dwóch tak grających zespołów była prawdziwą

uczta piłkarską. Pierwsze jaskółki uniwersalizmu i wszechstronności, przedwiosnie futbolu totalnego? Logika i celowość każdej akcji były niewątpliwie tymi elementami, które spowodowały, że na Wembley oglądaliśmy jedno z najwspanialszych widowisk w historii nowoczesnego sportu. Dzięki Robertowi Charltonowi i czarnoskóremu Eusebio odżyły w Londynie tradycje i pokaz rycerskich obyczajów. Protokół sędziowski był czysty. Prezydent FIFA, sir Stanley Rous był rozpromieniony:

Kopię filmu z meczu Anglia – Portugalia prześlę do wszystkich krajów. Niech się młodzi ucza, niech widzą, jaką wspaniałą grą jest piłka nożna.

Ja ze swej strony też nie skąpiłem pochwał. Odżyły na tych mistrzostwach idee „czystej gry”. Technika i myśl górowały nad siłą. Walczono w duchu wzajemnego poszanowania i koleżeńskości. Szczególnie Jaszyn i Eusebio demonstrowali gesty typowe dla bywalców wytwornych salonów. Z reguły powściągliwi w pochwałach Anglicy obiektywnie podkreślali: – *To było krykiet!... Grali sportowi dżentelmeni...* W finale spotkały się jedenastki Anglii i RFN. Jak grały? U Wyspiarzy imponowała zwartość bloku obronnego, perfekcyjna asekuracja, żelazna dyscyplina taktyczna i konsekwencja w realizacji zadań. Łatwość w przechodzeniu z obrony do ataku i optymalne wykorzystywanie własnych atutów – to godne podziwu cechy reprezentacji Anglii.

Sposób gry mistrza świata 1966 można by przedstawić w kompozycji liczbowej $1+4+(1+3)+2$. Bramkarz, dalej czterej obrońcy (w tym jeden, Bobby Moore spełniający funkcję libero), następnie wymiatacz linii pomocy (Stiles), trzech nominalni pomocnicy i dwaj napastnicy (Hunt i Hunter). Anglicy grali praktycznie bez klasycznych skrzydłowych. Ich zadania spełniali boczni obrońcy Cohen i Wilson, bądź pomocnicy Ball i Peters. Niesłusznie posądzono zespół Anglii o przesadne dbanie o „bezpieczeństwo pod własną bramką”. Fakty temu zaprzeczają. Lepiej od mistrza świata strzelali tylko piłkarze Portugalii i RFN.

Reprezentacja Niemiec na poprzednich mistrzostwach w Chile przeżywała wyraźny kryzys. Do Anglii Helmut Schoen przywiózł jakby zupełnie inną drużynę, wyrównaną w każdej formacji, skuteczną w obronie i ataku. Były trener FIFA, Dettmar Cramer, przedstawiając zalety tego finalisty z Wembley, na czoło wysunął:

- wzorową dyscyplinę taktyczną
- godną podziwu zespołowość w grze
- doskonałe przygotowanie kondycyjne
- przywódczą rolę Uwe Seelera.

Piłkarze RFN grali w ustawieniu 1+(1+3)+3+3. Dość długo stosowała je większość europejskich reprezentacji. W Anglii funkcję ostatniego obrońcy (wymiatacza) spełniał Willi Schultz, trójkę pomocników tworzyli Beckenbauer, Haller i Overath, a trio napastników: Held, Seeler i Emmerich. W defensywie Niemcy konsekwentnie stosowali „pressing”. Tracili mało bramek. Dopiero w meczu finałowym Anglia przełamała ich szyki obronne i po dogrywce wygrała 4:2. Trzeci gol strzelony w tym niezwykłym pojedynku wywołał wiele komentarzy. Piłka przekroczyła linię bramkową czy nie? Sędzia Dienst ze Szwajcarii też miał wątpliwości. Konsultował się z arbitrem liniowym „Tofikiem” Bachramowem z ZSRR. Ten powiedział „tak” i... z ulgą odetchnęła królowa Elżbieta II. Anglia mistrzem świata!

Trener zdobywcy Złotej Nike Alf Ramsey z woli monarchini otrzymał tytuł szlachecki, a Robert Charlton zdobył piłkarskiego Oskara ufundowanego przez tygodnik „France Football”. Anglia miała w swej historii, także w tym turnieju, wielu wybitnych piłkarzy, jednak żaden z nich nie grał tak pięknie, mądrze i z polotem charakterystycznym dla Francuzów i Polaków, a jednocześnie tak skutecznie. Bobby Charlton – to synonim kultury na boisku – piłkarz dżentelmen. Głównie o nim mówiono i pisano, że „**on jest cricket**”. W Anglii znaczy to bar-

dzo dużo, wystarczy za gamę pochlebstw. Niezwykle sympatyczna postać, choć tu i ówdzie – z racji niezwyklej koncentracji w życiu i na boisku – o Charltonie mówiono też „**kamienna twarz z Old Trafford**”.

To moja opinia o mistrzostwach świata w Anglii i jej największym piłkarzu. A jak to wszystko widział specjalny wysłannik „PS”, red. Grzegorz Aleksandrowicz? Też miał wątpliwości czy piłka po strzale Hursta przekroczyła linię bramkową. Potwierdził tezę, że pomocnicy nadawali ton w grze praktycznie w każdej czołowej drużynie. Anglicy robili to najlepiej. Jednak zdaniem „pana Grzegorza” na wyróżnienie zasłużył przede wszystkim Eusebio, król strzelców tych mistrzostw. Sędziowanie nie było najlepsze, natomiast publiczność wspinała. Była współtwórcą sukcesu Wyspiarzy.

Po tak smakowitej uczcie na angielskich stadionach powróciliśmy na ubożuchne polskie boiska. Pierwszych gier nie oglądałem, wyczerpany nieprzespanymi nocami i setkami informacji przeznaczonych do druku, na kilka tygodni wylądowałem w Instytucie Reumatologii. Potem był jeszcze Ciechocinek. Kręgosłup nie wybaczył długich godzin pracy za biurkiem. Kibice teraz też rzadko oglądali mecze w telewizji. Krótko i jednoznacznie podsumował to Cergo: – **U nas piłka nożna nadal nie cieszy się względami TVP. Inaugurację ligi znowu oglądaliśmy w postaci skrawków nie najlepszego filmu. Po Anglii nam to już nie wystarczy.**

Był to znowu sezon Górnika Zabrze. Wywalczył mistrzostwo i dotarł do finału Pucharu Polski. Tu jednak przegrał z Legią. Zabrzanie sięgnęli po tytuł również w roku 1967, świetnie spisali się w rozgrywkach europejskich, ale coraz wyraźniej zaczęły mu deptać po piętach Ruch Chorzów i Legia Warszawa. Wojskowi, już pod wodzą Jaroslava Vejvody, przez trzy rundy dzielnie rywalizowali z TSV 1860 Monachium, Waregem (Belgia) i Ujpestem Budapeszt w Pucharze Miast Targowych, a Ruch w roku 1968 zdobył nawet mistrzostwo Pol-

ski. Legia nie była wówczas gorsza, ale dosłownie na finiszu rozgrywek została „wykolegowana” przez śląskie lobby. Górnik nie miał już szans na mistrzostwo, więc skupił uwagę na rozgrywkach o Puchar Polski, natomiast strategia Ruchu była diametralnie inna.

Jednak Ruch bez pomocy Górnika nie byłby w stanie zdystansować Legii, a Górnik bez dobrosąsiedzkiej przysługi Ruchu nie zdobyłby Pucharu Polski. Finisz sezonu rozegrano po myśli posła Romana Stachonia, w sporcie śląskim mocno „trzymającym władzę”. Plan był prosty. Najpierw Ruch aż 4:1 wygrał z Polonią w Bytomiu, a potem na Stadionie Śląskim gładko pokonał Górnika 3:1. W świetle jesiennej wygranej zabrzan 4:1, teraz to wiosenne 1:3 było mocno podejrzane. Ale mistrzostwo zostało na Śląsku. W finale Pucharu Polski znowu powalczą sąsiedzi zza miedzy. Dublet dla Ruchu?

– Nic z tych rzeczy! Teraz zwycięstwo bardziej potrzebne było Górnikowi. Trzeba podzielić łupy. W drodze na stadion dywagowałem na ten temat z fotoreporterem Mieczysławem Świdorskim. Postawiłem na zwycięstwo Górnika.

– Juruś, chyba żartujesz – skrzywił się Mietek. – Górnik bez Lubańskiego nie da rady...

– Spokojna głowa... Da radę, zresztą Włodek tym razem zagra. Odpoczął i zapewne jeszcze coś strzeli...

Zabrzanie wygrali 3:0 i... wszystkie trzy bramki zdobył właśnie Lubański. Na łamach „Przeglądu Sportowego” wyraźnie dałem do zrozumienia, że górnicy „odpuścili” ligowy mecz z Ruchem i dopiero w finale Pucharu Polski zegrali na miarę swoich faktycznych możliwości. Nie był to wypadek odosobniony. W tamtych czasach w krajowym futbolu takich przejawów „uprzejmości” było znacznie więcej. Za tę sugestię oczywiście zganiła mnie katowicka „Trybuna Robotnicza”, przypisując „łowienie ryb w mętnej wodzie”. Wkrótce rezolutnie podsumował to Włodzimierz Lubański: – *Na układy nie ma rady!*...

Mistrzem w rozwiązywaniu takich układanek był właśnie poseł na Sejm Roman Stachoń. Piłkę śląską cenił najwyżej, no – a już Ruch był jego „miłością pierwszą”. Tytuł „wywalczony” przez chorzowian przyjął z entuzjazmem i tak, jak tamtejsze środowisko bez cienia podejrzeń. Stachoń dość często spotykał się z Heniem Loską, kilka razy i ja dostąpiłem tego zaszczytu.

– Ruch twardo idzie na mistrza, ale... Szombierki i GKS kiepsko przędą. Co ważniejsze – zapytałem – Tytuł dla Ruchu czy obrona I ligi dla bytomian i katowiczian?

– Ruch, tylko Ruch!... Tytuł dla Ruchu! A Szombierki i GKS i tak dadzą sobie radę...

Ja tak pewny takiego końca rozgrywek nie byłem. Niemal w stu procentach stawiałem na skuteczny finisz ŁKS-u. Wygra u siebie z Pogonią Szczecin i obroni ekstraklasę. Trafiłem kulą w płot. Górą byli „portowcy”. Wacław Zatke, taki sam kibic „Rycerzy wiosny”, jak Roman Stachoń „Niebieskich” z Chorzowa, wściekał się ze złości:

– Skandal! Nikt nie potrafił przemówić piłkarzom Pogoni do rozsądku i... do kieszeni. Fatalna organizacja!

– Na Śląsku – być może – takich „rozliczeń” finansowych nie było, ale „pomoc dobrosąsiedzka” doprowadzona do perfekcji. Czuwał nad tym właśnie towarzysz Stachoń. Wytknąłem mu tę asportową troskę:

– Z moich obliczeń wynika, że Ruch bardziej jest mistrzem Śląska, niż całej naszej ligi.

– Jak to? Co wam strzeliło do głowy, towarzyszu redaktorze? Ruch był najlepszy, wyprzedził Legię aż o trzy punkty!

– Porównałem wyniki poszczególnych spotkań i punkty zdobyte w nich przez te dwa kluby. Zaskakująca jest zwłaszcza analiza występów Ruchu i Legii na Śląsku. Ruch w pojedynkach z lokalnymi rywalami „wywalczył” aż dziewięć-

naście punktów, natomiast przyjezdna Legia tylko cztery. Liczby nie kłamią. Co pan na to, towarzyszu pośle?

– Znam też inne fakty. Ruch dwa razy wygrał ze Stalą, u siebie 2:0, a w Rzeszowie aż 4:0. Tymczasem Legia przegrała tam w ostatniej kolejce 0:1...

– Wtedy było już po herbacie...

– Po jakiej herbacie?! Manipulujecie! Szukacie sensacji?! A gdyby Ruch przegrał z Górnikiem, a Legia wygrała w Rzeszowie, to co wtedy? Tytuł byłby w Warszawie...

– Pan poseł raczy fantazjować! Układy się liczą, układy... Wasza strategia była prosta: Mistrzostwo dla Ruchu, Puchar Polski dla Górnika. O co miała walczyć Legia?... O czapkę gruszek?...

– O honor redaktorze, o honor! To przecież wstyd, że kandydat na mistrza przegrywa z kandydatem do spadku...

– „Wstyd nie dym, oczu nie wykole”... Na Łazienkowskiej też umieją kalkulować. Legia nie musiała już pomagać Pogoni, co chętnie czyniła w przeszłości, więc teraz ratowała pierwszą ligę dla Rzeszowa. Ma to we krwi, jak jakaś samarytanka.... Nie powiem, że to miłosierdzie jest bezinteresowne. Tylko na Śląsku nazywacie to „koleżeńską przysługą”...

Przed następnym sezonem 1968/1969 w redakcyjnym komentarzu powróciłem do niedawnych wydarzeń na Stadionie Śląskim: ... Gdyby głębiej zajrzeć pod podszewkę tylko niektórych wyników, to zapewne okazało by się, że decydowały o nich nie tylko względy szkoleniowe i nie tylko słabszy dzień faworyta lub gorsza forma sędziego. Także pewne elementy z zakresu fair play. Kto teraz przejmie pałeczkę od Ruchu? Górnik po raz dziewiąty?... Sugerowałem, że o wszystkim „zadecydują” mecze Legia – Górnik. Wojskowi przystąpili do rozgrywek nieco osłabieni. Z podstawowego składu wypadł Jacek Gmoch, w meczu Kadra – Express Wieczorny (1:5!) w starciu z bramkarzem

Marianem Szeją złamał nogę. Leczył się długo, jeszcze wiosną 1970 roku zapamiętałe ćwiczył w Instytucie Reumatologii w Warszawie, ale do zespołu już nie wrócił.

Jednak Legia przerwała śląski monopol, mimo że przefajdała z Górnikiem oba mecze. Ale w pozostałych zabrzanie prezentowali się znacznie gorzej, brakowało im motywacji i mobilizacji. Sporo spotkań traktowali wybiórczo. Na Stadionie Wojska Polskiego walczyli jednak o prestiż i zaskoczyli legionistów szybkim kontratakiem i wygrali 2:1. Po tym meczu górnicy mieli nad wojskowymi już cztery punkty przewagi. Rychło ją jednak roztrwonili. W połowie maja prowadzenie w tabeli objęła Legia i już nie oddała go do końca rozgrywek. Obrońca tytułu Ruch Chorzów przegrał w Warszawie aż 2:6.

– Jestem pełen uznania dla całej drużyny – promieniał ze szczęścia trener Vejvoda – ale przede wszystkim dla Deyny. To wybitny piłkarz, umie wszystko, gra nowocześnie... Jest urodzonym pomocnikiem. W ciągu dwóch lat zrobił ogromne postępy.

– Jest już najlepszy w naszej lidze?

Kręgosłupem drużyny jest pomoc: Deyna, Brychczy, Blaut. To mistrzowie futbolu, ale... czy Kazik jest najlepszy w lidze? Stawiam go na równi z Lubańskim. Deyna jest wszechstronniejszy, więcej umie, ale Lubański jest szybszy, bardziej przebojowy, typowy snajper. Król pola karnego. Deyna środka pola...

Wkrótce po mistrzostwach świata w Anglii wybrałem się na turniej UEFA do Turcji. Liczyłem na sukces, ale do szczęścia zabrakło naszej drużynie jednej bramki. Odpadła w eliminacjach. Brylowali juniorzy angielscy. Gra w ich wykonaniu była młodzieńczą ilustracją zalet prezentowanych przez Cohena, Wilsona, Moore'a, Charltona i Huntera. Ich następcy Shilton, Mills, Brooking, Kidd, Channon grali podobnie. Żywa kopia mistrzów świata. Turniej w Turcji był jednak dla nich tylko „przedsionkiem sławy”. Ten cudowny zespół an-

gielski będący niewątpliwie zwiastunem futbolu totalnego, przegrał mecz finałowy z ZSRR 0:1. Jak to możliwe? – dziwił się prezydent FIFA, sir Stanley Rous. O wyniku przesądziły dwie wielkie indywidualności rywala: skrzydłowi Kuzniecowa i Nodija. Trener naszych chłopców Jerzy Słaboszowski był ich grą zachwycony:

– Gdybym miał w zespole dwóch takich grajków, jak te dwa ruskie wiatraczki, to rozbiłbym w proch i pył wszystkie drużyny. Nawet Rosję i Anglię!

EFFENDI KONTRA GRUBEŃKO

Nie były to trenerskie przechwałki. W Turcji pokazaliśmy Europie dobrą drużynę, ale nieco okaleczoną, pozbawioną właśnie nowocześnie grających skrzydłowych. Szybkich, umiejących zwodzić, dryblować, podawać i celnie strzelać. Za postawę w głębi pola należały się naszym chłopcom oklaski, zaś reprimenda za bezradność pod bramką przeciwnika. Większość goli strzelali pomocnicy. Zabrakło nam dosłownie jednej bramki, by wygrać grupę i w półfinale zmierzyć się właśnie z „ruskimi”. Do stanu 3:0 w meczu z Belgią wszystko dobrze się układało, ale gdy cel był tuż tuż, poraziła chłopców jakaś blokada psychiczna. Nawet Jerzy Kasalik, Bogdan Masztaler i Paweł Janik strzelali teraz na wiat, w słupki, poprzeczkę lub Panu Bogu w okno. Juniorska piłka: kapryśna, niestabilna, nieodgadniona. Na stadiony świata z czasem trafili jednak: Jerzy Gorgoń, Adam Musiał i Bogdan Masztaler.

Zainteresowanie turniejem w Turcji było ogromne, na każdym meczu komplet widzów. Wpływy do kasy Tureckiego Związku Piłki Nożnej nadspodziewanie duże. Skorzystały na tym ekipy (także nasza), które odpadły w eliminacjach. Nadal przyjmowano przegranych z honorami, niczego nie skąpiono. Nas zakwaterowano w luksusowym hotelu Tarabaya w Stambule, znanego mi już z seria-

lu telewizyjnego „Święty”, w którym Roger Moore grał rolę Simona Templera. Zwiedziliśmy Adampol (Polonezkoey), polską osadę pod Stambułem założoną w 1835 roku przez księcia Adama Czartoryskiego. Chwilami czuliśmy się jak zamożni turyści. Humor dopisywał. Rozanielony trener Słaboszowski podczas przejazdów autokarami zachęcał do śpiewu. Rej wiódł tu Adam Musiał. – Adaś! Jedziemy! – ryczał „Grubeńko” i młody wiślak zaczynał swój popisowy numer: *„Andzia izbę zamiatała. ...Już wygrana nasza, wyjmuję pałasza! Co za piersi, co za uda? A tam dalej same cuda!”*.

Gospodarze podczas całego turnieju byli wobec nas niezwykle szarmancy. Zapraszali na pikniki, nad Morzem Marmara organizowali pokazy folklorystyczne, średniowieczne turnieje rycerzy i pocieszne walki zapaśników. W miejscowych zakładach pracy wręczano drobne prezenty, a wieczorami zapraszano na wystawne bankiety. Tureckie koktajle niejednego gościa zwały z nóg. Jurny „ruski” lekarz usiłował zatańczyć trepaka, ale i on nie zdzierzył. Szpetnie go obso baczył... trener Ladin.

Nasi juniorzy często chodzili do kina. Obejrzeni głośny wówczas film „Goldfinger” z Seenem Connory w roli Jamesa Bonda, nieco już zapomniany, ale wciąż atrakcyjny „Most na rzece Kwai” oraz kilka westernów z Johnem Waynem i Gary Cooperem. Sporo wolnego czasu spędzali też w towarzystwie juniorów francuskich. Byli wśród nich chłopcy polskiego pochodzenia, narybek Valenciennes. Wręczyli Polakom znad Wisły proporczyki, znaczki Francuskiej Federacji Piłkarskiej i skromne upominki. Nas nie stać było nawet na takie drobiazgi. Ubdy krewni z za „żelaznej kurtyny”...

Rumieniłem się za PZPN jeszcze z jednego powodu. W Turcji nie było naszych sędziów. Gwizdali ci z NRD, Rumunii, Bułgarii, Jugosławii, Węgier, z ZSRR przyjechał nawet sławny z londyńskiego finału mistrzostw świata „Tofik” Bachramow, natomiast z Polski nie pojawił się nawet Stanisław Eksztajn.

Wytknąłem to kierownictwu PZPN i... cel osiągnąłem. Na kolejnym turnieju UEFA w roku 1969 w NRD naszej ekipie towarzyszył już Edward Budaj, znany sędzia międzynarodowy. Dobrze się spisał, zbierał oklaski, był też duszą towarzysztwa w Lipsku. Przebojowy, imponował tupetem, z własnej inicjatywy przemawiał na przyjęciach... Europejczyk! Miał powodzenie u pań. Nawet studiujące tam Polki do niego lgnęły. Były do tańca i... rózańca. Wypiłem tam z Edkiem niejedno piwo.

W Turcji naszą reprezentacją opiekował się były piłkarz z Eskisehiru, nazwałem go „Effendim”. Przyjęło się, nikt – nawet Turcy – w innej formie do niego się nie zwracali. Otóż „Effendi” najbardziej zaprzyjaźnił się z trenerem Jerzym Słaboszowskim. Obaj chętnie rozpamiętywali barwną karierę piłkarską. Byli w tym dobrzy i nie ukrywali, że również mocno rozrywkowi. Licytowali się, który z nich lepszy. Zaproponowałem, by udowodnili w sportowej walce. Przyjęli wyzwanie. Najpierw zmierzyli się na „ręce”. Obaj o mało nie pękli z wysiłku, ale ostatecznie górą był Turek. „Grubeńko”, niegdyś tak ochrzciłem Słaboszowskiego, nie ustąpił. – Niech boisko rozstrzygnie, który z nas lepszy! Już zmierzchało, gdy wraz z nimi przeniosłem się na stadion. Strzelali karne i rzuty wolne. Tu znowu lepszy był „Effendi”. Jak się Turek zaprze, to nie popuści! Nawet w picciu wina nie był od Polaka gorszy.

– Jest jeszcze jedna szansa – pocieszałem Słaboszowskiego. – Czas na coś mocniejszego. Dam wam flaszkę „Wyborowej”... Masz mocną głowę, więc może wreszcie udowodnisz, że „Polak potrafi”?!

Turek i tu trzymał fason, znowu remis. Zwycięski w sumie i dobrze już rozbawiony „Effendi”, już blisko „godziny duchów”, namówił kierownictwo naszej ekipy na wypad do nocnego lokalu. Harem, nie harem, Bóg raczy wiedzieć, co to było. Wyciągnięci z łóżek dołączyli do nas: Wiesław Motoczyński, Janusz Gar-

licki i Jerzy Talaga. Wypiliśmy tylko po jednym małym piwie (słowo honoru) i patrzyliśmy, jak bawią się inni. Ni stąd ni zowąd przy naszym stoliku pojawiła się mocno rozdekoltowana dziewczyna. Zaczęła kokietować, zachwalać i bezwstydnie ukazywać swoje wdzięki, także te najgłębiej ukryte. Ogolone!... Pogłaskała Talagę po łysej głowie, potem Motoczyńskiego i dała do zrozumienia, że najbardziej podoba się jej doktor Garlicki. Chętnie by z nim poflirtowała... Janusz, tak jak „Grubeńko” nie zwykł odmawiać panienom, ale umizgi tureckiej kurtyzany zbył pogardliwym machnięciem ręki: – Idź precz, kusicielko!... Odeszła zawiedziona. Po chwili kelner podrzucił rachunek. Spojrzałem na sumkę i z wrażenia oczy stanęły mi kołkiem.

– Dlaczego tak drogo? – zapytałem.

– Bo była tu z panami kobieta...

Na Olimpiadzie w Meksyku znowu nie było naszych piłkarzy. Przed Tokio przegrali eliminacje z Włochami, a teraz z ZSRR. Jednak dla polskiego sportu były to igrzyska udane. Na podium stawali nie tylko bokserzy i lekkoatleci. Szczególnie miłą niespodzianką był złoty medal strzelca Józefa Zapędzkiego ze Śląska Wrocław. Cały pion wojskowy dobrze wypadł w Meksyku. Wykorzystano to w celach propagandowych. Właśnie wtedy obchodzono 25 rocznicę powstania Ludowego Wojska Polskiego. W macierzystym klubie złotego medalisty, Klub Dziennikarzy Sportowych zorganizował wtedy uroczystą sesję wyjazdową. Zapędzki był jednym z bohaterów wrocławskiej narady. Sam mówił niewiele, natomiast długo o wysokiej pozycji klubów wojskowych w polskim sporcie rozprawiał prezes Śląska. Robiło się nudnawo. Z narastającego odrętwienia wyrwał towarzystwo red. Arnold Borowik z Radia Łódź:

– Panie generale! – wrzasnął znieczeka. – Pierdyknem, bo odwyknem!...